Nr. 1. We Lwowie dnia 7. stycznia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Bądź pozdrowiony!

Senny zimowy brzask siną poświatą rozwidniać począł smugi śniegowych przestrzeni. W głębi ciemnych niebiosów silnie gorzały jeszcze gwiazdy, lecz już po bladnącem obrzeżu gasły, tonąc w pierwszych przypływach światła.

Wiatr tchnienie zatrzymał; między głębiącą się kopułą szafirów i rozesłaną białością ziemi nie zadrgał żaden ruch, żaden szmer się nie ozwał, nie pulsowało żadne tętno życia: zdało się, natura w pracy swej stanęła i tylko bryła ziemi zwolna zwracała się ku światłu.

Na górę ostrą, wyniosłą, w ów świt zimowy, wstępować począł człowiek. Zszargana odzież strzępami z ramion mu zwisała, w skrzepłej od chłodu dłoni trzymał kij prostaczy, kędyś, w głębi dzikich lasów ścięty w przechodzie; próbował nim drogi, usuwał z pod nóg grudy zmarzłego śniegu i wspierał się n nim ca ą niemocą ociężałego znużeniem ramienia. Głowę w futrzanym kołpaku niósł prosto, niekiedy podnosił ją do góry, a wówczas krwawe jego powieki, ciężkie od oszronionych rzęs, podnosiły się zwolna i źrenicą z tlącym gdzieś w głębi ogniem mierzył wysokość drogi i głąb zawisłej nad nim ciemności. Miał do przebycia sporo, a zanim ranek zabłyśnie, wejść musi na szczyt i odetchnąć.

Oto już idzie długo — przez wielość czasów, przez wielość przestrzeni — a spocząć mu nie wolno i nie wie, czy spocznie kiedy: aż chyba ten glob obracać się przestanie ku światłu, lub skurczy się w sobie i zamrze, lub rozpryśnie się w świecące pyły padających gwiazd. Do owej chwili iść będzie, a teraz wie tylko, zkąd wyszedł, lecz nie wie, kędy zajdzie.

Skończyła się jedna doba jego drogi; gdy wejdzie na szczyt i zobaczy wschodzące słońce, zacznie się pielgrzymowi dzień nowy. Szedł przez długą zimową noc, czarną w czeluściach niebios, zimnem iskrzącem się przejętą, pełną widm i głosów, wyjących w przestrzeni.

W głębi utrudzonej piersi niósł niewyraźne wspomnienie dawnego kędyś poranku, pełnego upajającej woni i ptactwa, szczebiotu i ros bujnych na pochylonych trawach. Było to niezmiernie dawno — gdzieś, na drugim brzegu dalekich, zapomnianych wód. Jaśniej pamięta chwilę, nasyconego słońcem popołudnia, gdy z gąszczu parnych, liściastych ciemni porwał się wielki ptak, i bijąc potężnemi skrzydłami, wzbił się w błękity, a słońce złociło mu pióra szerokiej piersi i wolny podmuch wiatru przelatywał po ważących się skrzydłach, rozpostartych nieruchomo w błękicie. Pomni i to drugie — dzisiejsze południe — pełne ważących się głosów i pieśni, pełne niedokończonych snów i chmur, zgęszczających się na niebie, z tęczami, błyskającemi na chmurach i pękającemi wpierw, nim barwy swe w jeden sierp wyiskrzyć zdołały. I nagle — ów krzyk, wybuchły, tryumfalny, w kręgach drgającego powietrza rozfalowany szeroko, krzyk oswobodzonej piersi — poklask rozkutych dłoni, chrzęst padających z nóg okowów... Ach, chwila tylko — a potem krwią popłynęły strumienia i słońce w gęstych oparach krwawą twarzą świeciło nad ziemią. Od owej chwili uszedł daleko — aż zapadł mu wieczór cichy, mrący w rozpływających się tonach skrzypcowych, w kwileniu śmiertelnie ugodzonego ptaka, w przejmującej woni zerwanej róży, stulającej śmiertelnie pąk na uschłych liściach. Gasły światła, cichły powiewy i szmery — i pomni, gdy stawało się tak cicho, że słyszał tchnienie liżącego mu stopy jeziora, zastygłego w nieruchomych źwierciadłach, w głębokiej piersi chroniącego krwawe zachodnie łuny.

A potem szedł jeszcze i zaszła go noc.

Widział, jak w ciemności występowały uploty gwiazd, jak szły drogą swą po kręgu niebios i jaśniały w swoim zenicie. Po ich proroczych drogowskazach kierował stopy swoje i wzrok swój wieszał na rozżarzeniu ich blasków, i myślał, że w tę noc czarną wiodą go, jak betlhejemska gwiazda.

Lecz kiedy ujrzał, że zachodzą, zdało mu się, że zgasły, że śmiertelne, były zwodniczemi drogowskazami; wówczas nie chciał już nic widzieć, spuścił wzrok, owionęła go ciemność i chłód, i słyszał, jak w wielkiej pustyni tej nocy jego własne tylko zmęczone serce uderza.

Tak kroczył, już zwątpień pełny i łez, krwawo zastygłych w źrenicy, a wierzył, że wszelkie światła dla niego pogasły i słońce powinno opuścić go na wieki. Wchodził w ciemną, głęboką dolinę, jak Dante w pierwsze okręgi piekieł; lecz nie miał przy sobie dłoni przewodnika, ani piersi przyjaciela, na której głowę by mógł przytulić i westchnąć. Dokoła niego podnosił się gęsty opar, a w nim odzywać się zaczęły i powstawać zewsząd coraz liczniejsze dziwne szmery i szumy dziwne jęki i wycia, jak głosy zwierząt dzikich, wychodzących z kryjówek nocnych na łup. Wkrótce powietrze zakotłowało niewidzialną, ciemnością mgły przysłoniętą, walką: dokoła przewalały się jakieś cielska, szemrały oddechy rzężących piersi, słychać było charczenie dławionych gardzieli i chrzęst zwartych w boju kości Przyspieszył kroku, lecz czemprędzej, czem dalej szedł, tem wchodził w gęstsze kłęby pożerania się. Czuł, że u stóp jego kłębią się sploty plugawych gadów, zuchwałe łby podnoszą mu do rąk, do piersi. Przejął go dreszcz wstrętu i już bał się tylko, aby nie prysły ciemności, aby księżyc czysty nie wzeszedł i nie rzucił promienia na te straszne padoły Gehenny, nie stawił go twarzą w twarz i oko w oko wobec tych widm, wobec tych wyjących nędz ziemi.

Lecz i to przeszło. A teraz zbliżył się do stóp góry i wstępować na nią począł. Owiała go tęsknota — przenikająca, wielka, ciemna — płuca jego muszą odetchnąć innem powietrzem, skronie jego potrzebują skąpać się w cieplejszych powiewach i oczy są żądne — na śmierć żądne — innych widoków, innych miejsc, innych tworów...

Co go spotka tam na górze? Czy wejdzie inne słońce nad nieznajomym widnokręgiem? Jakie posłyszy szmery nieznanych wód? Jakie żagle, w słońcu wschodzącem zróżowione, zakołyszą się nad drogami wodnych otchłani?

Pierś wzbierać mu poczęła nieznanym przypływem oczekiwania. Oto w niedługiej chwili stanie na szczycie i ujrzy — Nowe. W długich godzinach ubiegłej nocy słyszał wyraźnie, jak chrzęściały wiązadła starych posad, jak powietrze drgało chwianiem się dawnych rzeczy i nieraz wśród głuchych zapasów walki słuch wyostrzony przeszywał mu jakiś, skądś okrzyk tego, co ma się urodzić, co ma skądś przyjść, co szuka silnej i pięknej formy, aby cieleśnie zstąpić na świat i stopy na nim oprzeć. Czuje — oto zaledwie teraz czuje wyraźnie — że pożąda bezmierną tęsknotą opustoszałej duszy tego nieznanego, co przyjść ma. Jak u źródła nowych wód, opłucze w niem sterane pielgrzymką, prochem pokryte swe ciało; napije się chciwie z czystych bijących fal i obmyje oczy zawilgłe chłodem, zmęczone nocną ciemnością i tem, co w niej widziały. Wówczas niech słońce wejdzie — niech wejdzie, chociażby krwawo — niech płynie krew! byleby przyniosła odkupienie i jak wówczas — z więzów sromotnych, rozpętanie. A potem — kędy, jakiemi szlakami legnie mu dalsza droga? Wśród zbóż kwitnących? Wśród tryumfu tworzenia? Wśród okrzyku wielkich, w upojeniu rodzących potęg?

Oto stanie na szczycie i ujrzy.

Już na pobladłych ciemnościach wyraźną linją obrzeżać się począł kontur wierzchołka, już sine fale brzasku rozpłynęły się miękko naokół; jeszcze kilka kroków, jeszcze kilka odetchnięć zdyszanej piersi — i oto w chłodny świt wsiąkać zaczyna pierwsza różowość rodzącej się jutrzni.

Salve Regina!

Dosięgnął szczytu. Na dalekim kręgu seledynowych niebiosów błysnęły smugi złote, wysłańce zbliżającego się słońca. U stóp leżał mu kraj spowity w mgły poranne. Pielgrzym stanął, odetchnął głębokiem westchnieniem, a potem głowę odsłonił i rzekł:

„Wieku nadchodzący! Cokolwiek przyniesiesz z sobą, jesteś odrodzeniem. Bądź pozdrowiony!“

W. Dalecka.

Wyodrębnienie Galicji.

I.

Zarys historyczny dążności do wyodrębnienia Galicji.

Kwestja wyodrębnienia Galicji posiada długą historję, związaną z historją politycznych aspiracyj polskich XIX w. oraz z głównemi wypadkami dziejów Austrji w tym wieku.

Czem była i jest w najogólniejszym zarysie idea wyodrębnienia Galicji? Była i jest jednym z przejawów dążności ku niepodległości Polski, gdyż jest to dążność do możliwego usamowolnienia jednej prowincji dawnej Polski.

Słaba była ta dążność w chwili przyłączenia Galicji do Austrji w 1772. Galicja była najbardziej zacofaną polską prowincją. Obejmując ten kraj, Austrja nie spotkała tam należytego oporu. Gdy w kilka miesięcy potem następca tronu, późniejszy Józef II. wybierał się w podróż dla zwiedzenia Galicji, cesarzowa Marja Teresa starała się go powstrzymać od zwiedzenia zabranej prowincji, gdzie zdawało się, że za krzywdę kraju znajdą się mściciele. Następca tronu pojechał i był solennie przyjmowany. Były to pierwsze objawy stańczykierji, chęć robienia polityki przez dworowanie.

Ale sfera urzędnicza, nagnana przez rząd na Galicję, złożona z awanturników wszystkich krajów Austrji, ludzi o podejrzanej moralności, których rząd groźbą szubienicy i miecza katowskiego musiał powstrzymywać od kradzieży publicznego i prywatnego grosza; znacznie zwiększone podatki, oraz zatamowany handel przez odcięcie Galicji od ujścia jej głównych rzek zmusiły szlachtę galicyjską zaprzątać się ideą wyodrębnienia Galicji.

Poczucie interesów klasowych było u szlachty galicyjskiej silniejsze, niż narodowych, nie wytworzył się więc ruch rewolucyjny, dążący do zniesienia zaboru kraju, a tylko dążność do przyłączenia Galicji do Węgier, gdzie szlachta korzystała z szerokich swobód i przywilejów. Prośba szlachty galicyjskiej o przyłączenie Galicji do Węgier nie została uwzględniona.

Pomimo kordonu, oddzielającego Galicję od Polski, pomimo szeregu przeszkód, stawianych przez rząd austryjacki komunikowanie się Galicji z Polską, ożywienie polityczne i umysłowe, towarzyszące konstytucji 3. maja oddziaływa na Galicję. Wieści o rokowaniach Polski z Prusami, mających między innemi odzyskanie Galicji na celu, podnoszą energję Galicjan. Dla ułatwienia połączenia się z Polską oraz dla zaspokojenia swych żywotnych potrzeb, Galicja domaga się wyodrębnienia.

Stawiają się żądania ustanowienia sejmów, odbywających się nie rzadziej jak co dwa lata, poddania skarbowości zarządowi kraju, namiestnika krajowego, odpowiedzialności urzędników cywilnych i wojskowych wobec trybunałów, przez konstytucję naznaczonych, wojska narodowego, składającego się z 40000 ludzi, rekrutowanych w kraju i dowodzonych przez oficerów krajowców. Z praw politycznych żąda się zagwarantowania od aresztowań bez udowodnienia winy, przyznania żydom praw obywatelskich. Obok tych postępowych postulatów stawiają się reakcyjne: cenzus sejmowy 75 zł. i żądanie zachowania poddaństwa.

Rzecz charakterystyczna, że te reakcyjne postulaty zostały uwzględnione z czasem przez rząd austrjacki.

Konstytucja 3. maja upadła, nastąpiły rozbiory Polski, potem przyszły wojny Napoleońskie, Księstwo warszawskie, lecz wszystko to słabo poruszyło Galicję. Słabsze jeszcze było ogólne czucie z krajem za czasów Królestwa polskiego. Zacofana szlachta, chłop, rujnowany pańszczyzną i procesami, do których go pobudzała austryjacka biurokracja i przegrywający te procesy wskutek przekupstwa tej biurokracji, miasta, w których przeważało zniemczone żydowstwo i obca biurokracja, oto, co formowało obraz dawniejszej Galicji. Rzecz dziwna, nieprzewidziana. Powstanie 1830 r. elektryzuje ten odrętwiały kraj. Młodzież uniwersytecka i rzemieślnicza idzie do szeregów powstańczych, całe patrole wojskowe z Galicji idą przyłączyć się do wojsk polskich.

Powstanie 1830 r. nie było bezpłodnem pod względem społecznym, jak zdawać by się mogło po jego przebiegu, podczas którego nie podniesiono reform społeczno-ekonomicznych. Dało ono liczną emigrację, która poddała się najpostępowszym dążnościom wieku. Emigracja polska od 1830 r. 1848 r. wywiera znaczny wpływ na Galicję.

Dzięki niej szersze widnokręgi obejmowała w Galicji myśl polska, stawała się polską, nie zaś tylko galicyjską. Trzeba pamiętać, że oddziaływanie innych dzielnic Polski na Galicję jest tu zawsze jednym z czynników postępu.

Dzięki oddziaływaniu emigracji polskiej na Galicję ta ostatnia przejawia w 1848 r. bardziej postępowe dążności, niż te, jakie musiały być naturalnym wynikiem układu jej sił społecznych.

18. marca 1848 r. Lwów wystawił następujące postulaty;

1) Gwarantowanie polskiej narodowości, a więc zniesienie wszelkich jej swobodnemu rozwijaniu się na zawadzie stojących ograniczeń.

2) Oddzielna administracja prowincjonalna.

3) Powszechna polityczna amnestja.

4) Rewizja konstytucji stanowej i reprezentacja wszystkich klas mieszkańców na sejmie, który jak najrychlej zwołany być ma.

5) Zniesienie cenzury.

6) Powszechne jak najprędsze uzbrojenie miast.

7) Udzielenie ustawy municypalnej na jak najszerszej podstawie.

8) Powszechne zaprowadzenie szkół dla ludu.

9) Publiczne i ustne sądownictwo z sądami przysięgłych.

10) Zupełne zniesienie pańszczyzny i wszelkich powinności.

11) Całkowita równość obywatelska.

12) Obsadzenie urzędów krajowcami.

13) Wojsko krajowe ma stać w kraju i być narodową milicją.

Autorem tej petycji był Smolka, członek Towarzystwa demokratycznego; w duchu tej petycji działał Smolka w parlamencie wiedeńskim.

Najbardziej postępowe żywioły parlamentu wiedeńskiego, jak i frankfurtskiego przemawiały za wyodrębnieniem Galicji i daniem jej zupełnego samorządu państwowego.

Smolka był zwolennikiem federacji ze względu na to, że ta forma państwowa może ułatwić rozwój kwestji polskiej w pożądanym dla nas kierunku. W dwadzieścia lat później, podczas dyskusji w sejmie nad rezolucją, Smolka wypowiedział w danej kwestji: „Porównywuję federację do małżeństwa; w każdym razie nie jest to katolickie nierozerwalne małżeństwo. Stosunek federacyjny mogą śmiertelnicy rozwiązać. Domagałem się go przed 20-tu laty, ze względu na sprawę polską. Od lat 20-tu nie zmieniłem przekonania. (Stenograficzne sprawozdanie sejmu krajowego 1868 r.; mowa Smolki podczas obrad nad projektem rezolucji).

Ci, co chcieli w r. 1848 konserwować Austrję, byli wrogami tych, co chcieli z jej prowincji zapoczątkować nowe jednostki państwowe. Przeciwko narodom o rozwiniętej indywidualności historycznej wystawiali oni narody, będące jeszcze materjałem etnograficznym, przez swoje nierozwinięcie polityczne, służące interesom reakcji. To też reakcja tryumfowała. Austrja staje się znów zcentralizowanem, mniej lub więcej absolutnem państwem. Lecz dążności narodowe, które przyczyniły się do rozbicia absolutyzmu metternichowskiego, oraz porażki zewnętrzne przeobrażają dalej Austrję.

W 1867 r. zostają wyodrębnione Węgry. Odtąd posiadają swój odrębny parlament, rozstrzygający o wszystkich sprawach wewnętrznych tego kraju. Kwestje wspólne dla Austrji i Węgier (zagraniczna polityka, traktaty handlowe, zarząd, siła zbrojna obu państw i t. p.) rozpatrują delegacje, obierane przez oba parlamenty, które następnie zatwierdzają postanowienia delegacji.

(Dok. nast.) *Wład. Studnicki.*

Psyche i Amor.

Ciekawość leżała w naturze Psyche. Lubiła wdzierać się na skaliste góry, przebiegać szczyty wzgórz zielonych, mnóstwo ścieżek wyznaczyła już po kwiecistych dolinach i nieraz zamoczyła drobne stopy, przebywając strumienie, a gaje i lasy znała tak dobrze, że innych oprowadzaćby po nich mogła. Tak przynajmniej sądziła.

Najbardziej lubiła przebywać w wielkim lesie, przez który biegła rzeczka, zwana Marzeniem, a biegła w tak licznych i kapryśnych skrętach, że nawet ciekawa Psyche zliczyć ich nie mogła. Nieraz już zamierzała iść brzegiem rzeki, by znaleźć jej źródło lub ujście, lecz było to niepodobieństwem. Zbyt wiele kwiatów rosło na brzegach Marzenia, a były to kwiaty nieznane reszcie ziemi. Tu wśród nieustającej wiosny rosły różowo-srebrne chryzantemy i złote maki, — jak aksamit miękkie, puszyste i czarne storczyki, których płatki tworzyły postacie szatanów, patrzących na Psyche rubinowemi oczami pręcików, a straszniej-

szemi jeszcze były szmaragdowe oczy storczyków mlecznych z tęczowemi blaskami na szatańskich skrzydłach; tu gorzkie łzy spływały z kwiatów passiflory, tu rosły róże bez kolców, błyszczały gwiazdki kwiatów paproci. Tu każda roślina pachniała, lecz te wszystkie cuda żyć mogły jedynie nad brzegami Marzenia; zerwane, więdły z szybkością gasnącej iskry.

Po nad rzeką bujały motyle koloru słońca, a ćmy nocne jaśniały kolorem księżyca.

Psyche, upojona wonią, wpatrzona w barwy, zapominała o celu swych wycieczek.

Pewnego dnia goniła tęczową łątkę, gdy nagle zaszła jej drogę skrzydlata postać Amora.

Nie widziała go dotąd nigdy.

Utonęła wzrokiem w jego głębokich, ciemnych oczach, a gdy milcząc, wyciągnął ku niej ramiona, musiała podejść, i obejmując białą szyję Amora, szeptała:

— Czy jesteś Bogiem?

Zamknął jej usta pocałunkiem, a potem rozwinął skrzydła i uniósł ją w górę ponad rzekę, ponad lasy, w różowe chmury, bramowane złotem. Psyche nic już nie widziała na świecie, prócz ciemnych, niezgłębionych oczów Amora i o nic nie pytała, bo w tych oczach miała odpowiedź na każdą myśl własną.

Zapomniała o górach, o lasach, o dolinach i rzekach, zdało się jej, że żyje dopiero od chwili, w której poznała Amora. Jakże zresztą mówić mogła, skoro jej usta zamykały gorące, purpurowe wargi skrzydlatej postaci?

Ocknęła się jednak, gdy Amor znów rozwinął skrzydła do lotu i złożył ją na mchu, a oczyma swemi mówił:

— Do jutra!

— Czemu odchodzisz? — wołała — lecz on uniósł się w górę i milcząc, odleciał.

Psyche wtedy poznała ból tęsknoty. Był to pierwszy ból w jej życiu, a drugi dar Amora.

Zmęczona tęsknotą i oczekiwaniem usnęła. Wtedy zjawił się znowu.

— Kto to? — szepnęła na pół rozbudzona.

— Amor...

I znów ulecieli po nad ziemię. Bolu tęsknoty już nie czuła, lecz została pamięć o nim i wywołała pytanie:

— Czemu opuściłeś mnie, Amorze? Wszak sam mnie porwałeś?

Psyche najwidoczniej bawiła się w logikę, Amor zaś odpowiedział jej pocałunkiem.

Pocałunek był tak słodki, że Psyche zapomniała na razie o pytaniu. Zapomniała, lecz jak wiadomo, posiadała cnotę ciekawości, która kazała pytać dalej:

— Amorze, czy znowu dzisiaj odlecisz?... Amorze, zkąd przybyłeś?... Amorze, czy tylko całować umiesz? — Lecz Amor był niemy i całował.

Po raz drugi złożył ją na mchu leśnym i uleciał w niewiadome strony.

Psyche od dwóch dni przestała śpiewać, od dwóch dni nie uśmiechnęła się, a gdy ją pytano: „Co tobie, Psyche?“ — udawała, że nie słyszy, lub odpowiadała: „Jestem zmęczona“.

Nauczyła się kłamać — i to był trzeci podarek Amora.

Nazajutrz Amor spóźnił się trochę, a ona wołała, wyciągając doń ręce:

— Spóźniłeś się, Amorze! Gdzie byłeś? Zkąd wracasz? Nie całuj, — powiedz choć słowo!

Amor bez ceremonji pochwycił Psyche, lecz ona, choć zapatrzona w ciemne oczy, ust uchylała. Chciała posłyszeć głos swego Boga, chciała użalać się przed nim na godziny tęsknoty, na fałsz, który usta jej splamił, a tymczasem każde jej słowo gasiło jeden blask w oczach Amora, aż wreszcie z miną znudzoną rozwarł ręce...

Biedna Psyche spadła na ziemię.

Długo leżała zemdlona. Gdy przytomność wróciła, Psyche raz wyobrażała sobie, że miała straszny sen, to znowu dziwiła się, że żyje, nie mogąc żyć. Wreszcie wpadła w apatję, nad rzekę nie zaglądała wcale i chodziła po świecie, budząc podziw twarzą bez wyrazu.

Był to czwarty podarek obojętnego już Amora.

Pewnego dnia, gdy Psyche siedziała kolo drogi, podeszła do niej kobieta. Miała usta skrzywione cierpieniem i gorączkę obłędu w wielkich, błękitnych oczach.

— Czy nie widziałaś Amora? — pytała.

— Widziałam.

— Gdzież jest?

— Nie wiem.

— Kłamiesz! Oddaj mi Amora! Oddaj, schowałaś go pewno, ale ja go tobie zabiorę, nie puszczę!

— Zapomniałaś, że Amor ma skrzydła — odparła Psyche.

— O, tak! Niechby mnie raz jeszcze oderwał od ziemi. Zapomnieć go nie mogę; chodzę i szukam go wszędzie, zatruta jego pocałunkiem. Gdybym go choć ujrzeć mogła! Jeśli wiesz, gdzie jest, powiedz mi, błagam cię, Psyche!

Psyche uczuła niesmak.

— Jak możesz gonić za tem, co od ciebie ucieka?

— Kocham go!

Psyche zamyśliła się. Wszak i dla niej Amor był niegdyś światem. Same pocałunki wystarczyć jej nie mogły, dlatego ją rzucił. Lecz czemuż rzucił tę drugą — stęskniona? Psyche nie mogła wyleczyć się z logiki.

Kobieta pobiegła dalej, a z ramion Psyche opadła obojętność. Nie chciała być, jak ta obłąkana, ofiarą skrzydlatej postaci.

Tak myślała, gdy wtem Amor stanął przed nią, a gdy zoczył spokój w źrenicach Psyche, zdumiał się.

— Jestem Amor! — szepnął.

— A jam Psyche.

Długo mierzyli się wzrokiem.

— Amorze — rzekła, nieuleczona z logiki Psyche — dopóki będziesz kochał tylko siebie, nie zejdą się nasze drogi. Psyche była ci miłą dopóty, dopóki ślepo poddawała się lotowi twych skrzydeł. Rzuciłeś mnie, czemu wracasz?

Amor milczał, i widać było w jego oczach, że nie wie, czemu wrócił. Czyżby dla tego, że zagoiły się rany Psyche?

— Czemu wracasz? — powtórzyła.

Zniecierpliwiony zawrócił z poszumem skrzydeł i odszedł, spozierając jednak za siebie ku Psyche.

Lecz ona nie poszła za nim. Odtąd rozbrat trwa między niemi.

On zbiera dalej ofiary, a ona?... Ona wyszła za Filozofa i najstarszej córce dała imię Feministki. *A. Morzkowska.*

34)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Podróż Aleksandra Czekanowskiego w dolinę rzeki Olenek'a, opisana przez uczestnika tej podróży Zygmunta Węgłowskiego.

Wraz z nami wyruszyli w drogę przez tundrę do Bułunia Jakuci z rodzinami, wracający do swoich ognisk stałych, czyli do jurt zimowych w dorzeczu rzeki Leny położonych. Towarzystwo jakuckie składało się z 60 osób: mężczyzn, kobiet, dzieci i niemowląt u piersi; podróżni wiedli ze sobą stado reniferów, liczące przeszło 200 sztuk dorosłych okazów, używanych do jazdy, a obok tego pewną ilość samic dojnych z cielętami. Po raz pierwszy tu na północy odbywaliśmy podróż w tak licznem gronie osób różnego wieku, a po raz pierwszy w życiu jechaliśmy wśród tak wesołego i ruchliwego towarzystwa. Pogoda umysłu, jasność oblicza, stałość usposobienia mieszkańców tamtejszych stanowią kontrast rażący z chmurnem niebem, mglistem i zmiennem powietrzem ich ojczyzny; tubylcy stron polarnych panują nad otoczeniem swojem zasobem niewyczerpanym energji życiowej, w istocie siła tej energji jest niespożytą, objawia się ona u nich zdrowiem ciała i duszy, żywością ruchów, wesołością temperamentu, przymiotami towarzyskimi i społecznymi, odpornością na działalność zabójczą klimatu i wytrwałością w znoszeniu cierpień wszelakich.

Zbierająca się w podróż daleką drużyna Jakutów, z nami jadących, miała wielkie podobieństwo do stada ptasząt, lecących na południe; jak ptaki niebieskie, zdawali się nasi podróżnicy cieszyć życiem chwili bieżącej, bez myśli i troski o przyszłość najbliższą. Szczęśliwe ich usposobienie działało skutecznie na umysły, przewidujące ciężkie przejścia w czasie podróży przez tundrę, gdzie zwykle o tej porze panować mają śnieżyce i burany. To też głosy wróżbitów niepowodzenia, których Czekanowski w swojem sprawozdaniu nazywa „meteorologami miejscowymi“, milknąć musiały wobec ogólnej ufności w gwiazdę pomyślną, świecącą nad naszą wyprawą. Oprócz tej dodatniej, wyżej wymienionej strony charakteru naszych współtowarzyszy, podnieść trzeba jeszcze i inną, mianowicie instynktowy niejako zmysł porządku, ładu, zgody i dążenia wszystkich wspólnie ku pomyślności każdego z towarzyszy swoich. Podróż więc nasza w takiem otoczeniu sympatycznem, nietylko że nie była przykrą, lecz przeciwnie, przyjemną, mieliśmy bowiem ciągle przed oczami źródło przyjemnych wrażeń, wywoływanych postępowaniem szlachetnem tych prostych, szczerych i uczciwych ludzi. Całe nasze towarzystwo stanowiło też w czasie drogi jakby jedną wielką rodzinę w której my sami nie czuliśmy się obcymi. Nieraz w podróży, zastanawiając się nad objawami życzliwości bezinteresownej towarzyszy naszych, zadawaliśmy sobie pytanie, zkąd się u nich bierze ta miłość bliźniego, ten altruizm tak szczery i szeroki, nie ścieśniony ani fanatyzmem religijnym, ani narodowym, ani społecznym. Kochają oni wszystkich ludzi, spieszą z pomocą i radzi widzieć każdego szczęśliwym.

W czasie wędrówki naszej, ład w obozach panował wzorowy; karawana w marszu wyciągała się na przestrzeni półwiorstowej, każda grupa jadących pilnowała swego miejsca i ztąd nieporządku lub zamieszania nie doświadczaliśmy wcale. Na czele kolumny jechał przewodnik, jego żona i kilkoro dzieci; za ni-

mi szedł nasz obóz bagażowy, pozostający pod ciągłym dozorem przewodników, z których każdy miał pieczę nad 5 lub 6 nartami; za obozem jechały rodziny grupami oddzielnemi, strzegąc swoich reniferów. Za ostatniemi grupami jechał Czekanowski w towarzystwie mojem i jednego przewodnika; wybraliśmy z umysłu to miejsce w kolumnie, ażeby mieć zupełną swobodę ruchów i módz oddalać się od karawany, nie sprawiając zamieszania w stadkach luźnie pędzonych reniferów. Na skrzydłach długiego orszaku podróżnego były w ciągłym ruchu dzieciaki, popisywały się one ze swoją zręcznością w dosiadaniu wierzchowców i umiejętnością jeżdżenia na nich; pędząc cwałem, zmieniały pozycję co chwila, to stojąc na siodle, to klęcząc, to siedząc bokiem, zataczały rumakami ze zręcznością i wprawą doświadczonego jeźdzca; gonitwy takie malców, wśród śmiechu i wesołości niewinnej cieszyły towarzystwo całe.

Na czele każdej grupy oddzielnej jechały kobiety, siedząc bokiem na siodle, zbudowanem odmiennie nieco, niż siodło męzkie; każda z kobiet miała w ręku laskę długą, zakończoną hakiem żelaznym; laska taka służyła im do sondowania i badania gruntu pod śniegiem, w celu przekonania się o charakterze i właściwściach mchu danej miejscowości; jeżeli mech jest pokryty warstwą lodu, nie bywa on zdatny na paszę dla reniferów i w miejscowości takiej stawać na wypoczynek nie można. Tylko tam, gdzie mech pod śniegiem jest suchy, nocleg jest możebny, bo wtedy jest pewność że renifery nie pójdą daleko od obozu, i że dla namiotów znajdzie się miejsce dogodne i suche, Stawiąc bowiem namiot, oczyszcza się uprzednio przestrzeń całą ze śniegu, aż do gruntu; ważną jest przeto rzeczą wiedzieć naprzód, przed rozpoczęciem ciężkiej roboty, jaki grunt pod śniegiem ukryty mamy przed sobą, ztąd też sądowanie próbne jest jedną z najważniejszych czynności podróżnych, wykonywanych przez kobiety, które mają przy wyborze miejsca na nocleg głos decydujący.

Dzieci starsze jechały konno na reniferach; niemowlęta wieziono w futerałach czyli cylindrach, uszytych i sporządzonych z kory brzozowej wyprawnej. Futerał taki ma dno mocno przytwierdzone do jego ścianek, przykrywka zaś jest ruchoma, trzyma się ona na zawiasie rzemiennej, przystaje ściśle do futerału i bywa na zawiązkę rzemienną zamykana. Wnętrze cylindra wyścielają futrem piescowem, i dopiero wtedy wsuwają do niego w pozycji stojącej niemowlę, utulone i szczelnie spowite w futra, również piescowe. Umieściwszy dziecko w futerale, dają mu do ust koniec dużego „rożka“, wyrobionego z rogu bydlęcego: do rożka nalewają pokarm, który starczyć ma na cały czas jazdy dziennej, następnie rożek denkiem przymknięty przytwierdza się w futerale w taki sposób, ażeby koniec jego, stanowiący sztuczną sutkę, zrobioną z sutki reniferowej, był blizki od ust dziecka, i mógł w każdej chwili służyć mu do ssania. Po zamknięciu i zawiązaniu przykrywki, futerał zawiesza się u siodła na paskach rzemiennych, i w czasie drogi nie zagląda się do niego wcale, czyni się to dopiero w namiocie przy płonącem ognisku. Na reniferze, wiozącym zwykle dwa futerały z niemowlętami, po jednym z każdej strony siodła umieszczonym, żaden jeździec nie siedzi, zresztą same siodło jest nieco odmiennie zbudowane od siodeł używanych do jazdy, przyczem zaznaczyć trzeba, że niemowlęta przez cały czas podróży mają pozycję stojącą. Pokarm, jaki dają dzieciakom w drodze, jest oryginalny, przyrządzają go ze świeżej ikry rybiej, rozmrażanej przed ogniem w namiocie. Ikrę taką, braną przeważnie z ryb łososiowatych albo siejowatych (n. p. Nelma. Omol,) rozcierają z wodą do konsystencji mleka gęstego w mozdzierzyku, sporządzonym z drzewa. Matki karmią niemowlęta piersią własną tylko w namiotach, gdy je wyjmą z futerału. W taki sposób, prawdziwie po spartańsku hodowane dzieciaki, już od najwcześniejszego niemowlęctwa swego przywykają do cierpliwości i do ciężkiego żywota, rządzonego przymusem despotycznym nieubłaganej konieczności.

Dla dzieci starszych wiekiem mają zwykle mleko reniferowe. Dojenie odbywa się po przybyciu na miejsce noclegu, i jest z czynności, wykonywanych na mrozie i wietrze jedną z najcięższych może, szczególniej utrudnioną jest ta czynność z powodu, że krowy reniferowe niechętnie poddają się operacji dojenia, trzeba je trzymać za rogi i siłą zmuszać do posłuszeństwa. W czasie, gdy kobiety doją, cielęta wiodą walkę zaciętą z dziećmi, których obowiązkiem jest wtedy niedopuszczać cieląt do matek, ażeby nie przeszkadzały dojeniu. Mleko reniferowe jest gęste, słodkie i smaczne, tłuszczu ma bardzo niewiele *), ztąd też masła z niego robić nie można; w czasie drogi używaliśmy mleka do herbaty i ono nam smakowało wybornie. Praca każdego z uczestników podróży była w ciągu całej podróży ciężką i męczącą, nikt się od niej jednak nie uchylał; rozkazów, nawoływań, zachęcań, wymówek, a tem mniej połajań lub złorzeczeń, słychać nie było; każdy wiedział, co miał robić, jak robić i czynność swoją wykonywał chętnie, z wesołem obliczem. Jak w mrowisku lub ulu wrzała robota, która zdawała się w ręku wprawnych wykonawców igraszką tylko. Najchętniej jednak, najusilniej, najgorliwiej praco-

---

*) Hartwig, opierając się na relacji angielskiego podróżnika po Laplandji utrzymuje, że mleko reniferowe jest niezmiernie tłuste, i że z tego powodu pić go w większej ilości nie można.

wały kobiety, miały one ponad zwykłą, wspólną pracę z mężczyznami przy stawianiu namiotów, przy dozorowaniu reniferów itd., jeszcze cały szereg zajęć z dziećmi, z ich odzieżą, obuwiem, pokarmem i t. d.; nieraz, gdy już towarzystwo męzkie było w głębokim śnie pogrążone, one czuwały jeszcze, szyjąc, susząc, czyszcząc ubrania dzieci, swoje i mężczyzn i odganiając sen od znużonych powiek śpiewaną półgłosem kołysanką lub inną pieśnią jaką. Najtrudniejszą w tej podróży była praca przy dostarczaniu paliwa, mianowicie na tundrze, gdzie niema prawie żadnej roślinności drzewnej; musiano więc szukać drzewa na opał namiotów po dalekich dolinkach, wieźć je z sobą i używać bardzo oszczędnie, to też palono najczęściej tylko wtedy, gdy gotowano wieczerzę, a noc całą spędzano w nieopalonym namiocie, grzejąc się własnem ciepłem w workach podróżnych, uszytych z futra piescowego. (D. c. n.)

Z pism i książek.

— *Korony królów Polskich*. Opisał Walery Eljasz Radzikowski. Z rysunkami. Poznań 1899. „U narodów niepodległych klejnoty koronacyjne stały się przedmiotem studyj naukowych, okazami sztuki i cywilizacji ówczesnej, dla nas, nie mających bytu politycznego, wszystko, co nam przypomina świetną przeszłość, wpływ naszego narodu na rozwój ludzkości, większe posiada znaczenie“.

Z takiego punktu wychodząc, Autor czyni z przedmiotu, posiadającego charakter specjalnych poszukiwań historycznych, rzecz pełną życia i zajmującą, która każdego czytelnika, najmniej nawet usposobionego do szczegółowych badań, musi zainteresować.

Przedmiot traktowany jest ze znawstwem, a sumiennie, widać że autor, historyk i artysta malarz w jednej osobie, niemało położył starań, aby badania swe uczynić wyczerpującemi. Mamy tu licznie zebrane wiadomości o wszystkich ważniejszych klejnotach koronnych, od pierwszych początków państwa do ostatnich chwil Rzeczypospolitej, a przesuwając się przed oczami czytelnika, widome te znaki majestatu ubiegłych czasów, budzą w nim drogie wspomnienia o Bolesławach, kładnących podwaliny możnego państwa, o Jagiellonach, mądre rządy monarchji wiodących; mówią mu o książętach pomniejszych, wywołują w żywem wspomnieniu z ciszy grobów królewskich postaci niewieście w koronnych pamiątkach... Nie poprzestając na rzeczach ojczystych, autor prowadzi badania swe szerzej, traktuje o zabytkach innych krajów, które pozostawały w styczności z naszym, więc o koronach sąsiednich narodów — Czech, Węgier, Niemiec, tłumaczy rozwój ornamentyki korony, owych lilji rzeźbionych, kędyś ze wschodnich poczerpniętych wzorów. Do najciekawszych jednak ustępów dziełka należą dzieje korony Bolesławowej, która służyła do koronacji wszystkich późniejszych królów polskich. Szanowny Autor, podając w wątpliwość zachowanie w pierwotnej całości starożytnego zabytku, przypuszcza iż pierwszy z królów popodziałowej Polski, Przemysław, prawdopodobnie odrobić ją kazał na nowo i w tej, już nowej formie, służyła do koronacji późniejszych. Idąc śladami historycznych wzmianek, Szan. Autor wspomina o koronacji ostatniego króla, kiedy to po raz ostatni uroczyste insygnja użytemi zostały. Mówi jeszcze o lustracji skarbu koronnego w roku 1792, nakazanej przez Sejm czteroletni, kiedy spostrzeżono wprawdzie zniknięcie wielu cennych zabytków, stwierdzono jednak istnienie 5 jeszcze koron, a między niemi Bolesławowskiej, a także Szczerbca. Potem snują się już tylko opowieści fantastyczne o naszych klejnotach koronnych, których bezpodstawność Szanowny Autor w sposób przekonywujący wykazuje, dając natomiast wiarę „kronice ubogiego klasztoru Kapucynów w Krakowie, która tajemnicy tej rąbek nam odsłania.“

W pracy mianowicie X. Wacława Nowakowskiego, kapucyna, ogłoszonej na podstawie zapisków klasztornych w r. 1894 znajduje się wiadomość, że insygnja koronne zostały nie wykradzione świętokradzką ręką ze skarbca Wawelskiego, lecz ukryte starannie i do dziś przechowywane w miejscu bezpiecznem, dla oka wrogów niedostępnem. Uniesienia i ukrycia dokonali mianowicie zakonnicy kapucyńskiego klasztoru na rozkaz kanonika Sierakowskiego, które to miał przekazanem sobie przez swego brata, prałata W. Sierakowskiego. Kroniki kapucyńskiego klasztoru głoszą dalej, iż skarb koronny przechowywany był we Włodzimierzu na Wołyniu do 1842 r. W owym to roku wydelegowany z Petersburga fligieladjutant czynił długie i nader ścisłe poszukiwania w nawpół już rozburzonym klasztorze, przełamywał nawet mury, pukał po ścianach... Praca jednak była nadaremną, — nic się nie znalazło. Po odjeździe wszakże fligieladjutanta, stróż policyjny, mieszkający w klasztorze kapucyńskim, spostrzegł świeżo dokonane wydrążenie w murze koło bramy i ślady wyjętej z owego wydrążenia skrzyni dębowej, okutej żelazem. Rozpoczęte na nowo poszukiwania rosyjskiego rządu żadnych rezultatów jednak nie przyniosły. Skarbiec przewieziony został i ukryty w nowe, bezpieczniejsze od chciwych rąk miejsce. Że nie zaginął, świadczy o tem wiadomość, udzielona Autorowi przez O. Wacława, że po 1870 roku „zaszła okoliczność, znaglająca do przewiezienia znowu w odmienne miejsce owych klejnotów królewskich, przyczem skonstatowano obok koron istność Szczerbca“...

Obok szczegółów o insygnjach królewskich, Autor wygłasza nawiasem nader zajmujące uwagi, dotyczące historycznego znaczenia zagadkowej, bądź co bądź, postaci Bolesława Śmiałego. Wbrew nowszym przypuszczeniom o wrogiem króla względem Rzymu usposobieniu, Autor ma go za wiernego stronnika papiestwa, cieszącego się względami Grzegorza VII. Zatarg z biskupem krakowskim nie pozbawił go sympatji Rzymu, nie wywołał nań klątwy, jak to twierdzi Długosz, a za nim powtarzają historycy „nieznający prawdy dziejowej“.

Cenne dziełko p. Eljasza zdobią tabele, przedstawiające wizerunki królów, królowych, a także starożytnych koron, nietylko polskich, lecz i krajów ościennych.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.